



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

## FRANCISZEK LISZT.

(Do kończenia)

Ze spokoju tego sielankowego życia wyrwały Liszta echa dochodzące z Paryża. W początku roku 1836 począł tam koncertować Thalberg, a gra jego, choć nieco sztywna i pozbawiona na tchnienia, lecz za to niesłychanie wykończona, wywarła tak silne wrażenie, że bez wahania się okrzyknięto go najpierwszym pianistą. Podrażniło to Liszta, któremu powodzenie Thalberga wydało się niezasłużonem, i postanowił zmierzyć się z tym nowym ulubieńcem Paryża. Przyjechał tedy do stolicy świata, dał kilka koncertów i napisał krytykę gry Thalberga. W pierwszych odniósł zupełne zwycięstwo; grał Beethovena, swoje fantazyje z „Hugonotów“ i „Roberta Dyabła;“ na jednym czytał *à prima vista* dwie świeżo napisane etiudy Szopena (op. 25, N 1 i 2), i zmusił publiczność do przyznania, że jeżeli „Thalberg jest najpierwszym fortepianistą, List jest *jedynym*.“ Zato ów artykuł, przeciwko współzawodnikowi wymierzony, był nader niefortunnym. Ogół przyjął go z pewną niechęcią. Szopen ostre za niego robił Lisztowi wymówki, a i sam on po dojrzałszym rozmyśle żałował, że go napisał, i starał się pogodzić z Thalbergiem, na dowód czego zaproponował zbiorowe wydawnictwo waryacji na znany temat z „Purytanów,“ w którym, prócz niego i Thalberga, wzięli udział Szopen, Herz, Pixis i Moscheles.

W rok po tej walce (1837 r.), rozpoczął Liszt szereg swych podróży artystycznych po Europie, które były dla niego jednym ciągiem tryumfów i owacy, dla słuchającej zaś go publiczności —

zachwyty i uniesień. A wpływała na to nie tylko demoniczna iście gra jego, doprowadzona do ostatnich granic mistrzostwa i doskonałości, lecz i dziwny czar, jaki wywierała na całe otoczenie interessująca powierzchowność genialnego pianisty, szlachetność uczuć i myśli, oraz wysokie wykształcenie, którego brakiem zazwyczaj wirtuozi się odznaczają. Szalano za nim poprostu i słano mu drogę pochlebstwy i kwiatami. Gdy w r. 1840 pierwszy raz zawitał do Węgier, obok niezliczonych innych hołdów i owacy, ofiarowano mu szablę honorową na scenie teatru narodowego. Przez lat 10 objeżdżał tak Liszt Europę, spełniając do dna czaszę sławy i uwielbienia, jakie budziły wszędzie cudotwórcze jego palce. Między innymi, był wtedy i w naszym kraju w r. 1843. Przybywszy do Warszawy, dał się słyszeć naprzód w paru pomach prywatnych, mianowicie w domu sędziwego muzyka Elsnera, który zapoznał go z miejscowem kołem muzycznym, oraz u hr. Franciszków Potockich, gdzie wobec namiestnika i wielu dostojnych osób grał fantazyję z „Purytanów,“ oraz kilka innych kompozycji. Dnia 6 Kwietnia wystąpił z pierwszym koncertem w Salach Redutowych. Mimo, że ceny biletów były — jak na owe czasy — nader słone (18 złp. za krzesło, 10 złp. za miejsce na galerji), rozebrano wszystkie miejsca, a sklepy Klukowskiego, Spiessa i Zalewskiego, gdzie je sprzedawano, były w istnem obłężeniu. W dzień koncertu zdawało się — jak donosi ówczesny *Kurjer Warszawski* — że to dzień smutku jakiegoś, a przynajmniej święta wyjątkowego, gdyż w całym mieście pusto było jak wymiótł. Wszyscy byli w Salach Redutowych, a kto się tam nie dostał, przypatrywał się tłumom przed gmachem teatralnym. Słuchaczy na koncercie było 1,200, co na ówczesne wymiary sal i ceny wysokie, przy małej *nb.* ludności miasta, było cyfrą niesłychaną. Po koncercie, na którym mistrz między innymi wykonał *Andante* z „Łucyi,“ *Fantazyję* z „Lunatyczki,“

pieśni Schuberta i „Galopadę chromatyczną“ własnego układu, zapal publiczności nie miał granic. Nawet poważni sprawozdawcy (np. recenzent *Gazety Warszaw.* N 94), nie mogli pod wpływem uniesienia utrzymać się na stanowisku obiektywnych obserwatorów i, zamiast uwag krytycznych, rzucali na papier pełne zachwyty superlatywy. *Kurjer Warszaw.* z dnia owego wypisał kursywą: „Liszt — wedle najdalej posuniętych, chociażby idealnych pojęć o doskonałości muzycznej — jest, zdaniem naszym, ostatnim wyrazem tej doskonałości.“ Węzyk napisał na cześć Liszta wiersz, który drukowała *Biblioteka Warszawska* (zeszyt wrześniowy).

Wieczorem tegoż dnia genialny pianista złożył wizytę ojcu Szopena, dając tem dowód niezwykłej delikatności uczuć. Nazajutrz odbył się drugi koncert, którego lwią część stanowiły utwory Szopena, Webera i Meyerbeera. Po koncercie odwiedził mistrz fortepianu rządowy instytut panien, mieszczący się podówczas przy ulicy Miodowej, w dzisiejszej rezydencji arcybiskupa, zostający pod zarządem pani Groten, a przeniesiony następnie do Paław. Powitałszy z wykwinną galanterją przelożoną i zgromadzone uczennice, rozmawiał z nimi czas jakiś, poczem siadł do fortepianu, a gra jego tak potężnie działała na słuchaczki, że — według słów naocznego świadka — bładły twarze, iskrzyły się oczy, a pani Groten rzewnie płakać zaczęła...

Drugi koncert większe jeszcze, niż pierwszy, wywarł wrażenie. Recenzent *Gazety Warszaw.* (N 97) wyznaje otwarcie, iż przybył, dawszy sobie słowo, aby słuchać muzyki nazimno, lecz pierwsze akkordy rozbroiły go tak, iż przestał panować nad sobą. Wyraża on się, iż gra Liszta ma tę własność, iż pojęcie trudności mechanizmu znika przed ogółem efektu, czyli, że nie uszami, lecz duszą musimy jej słuchać, z kąd wynika, iż nie podobna jej rozbiierać technicznie.

Trzeci koncert odbył się d. 10 Kwietnia, już



ulegają pewnym niebezpiecznym zaburzeniom i zbeczeniu; bardzo często słyszy się teraz o wariatach, którzy po ulicach szukają drogi najkrótszej do Tworków i nie mogą trafić do szpitala obłąkanych. Statystyka samobójstw wykazuje również zwiększający się procent zamachów na własne życie.

Tu jakiś młody intelligentny człowiek, nie mogąc znaleźć zajęcia, połyka gałki z chleba nadzianymi główkami zapalek, ale w ostatniej chwili idzie zameldować się do cyrkułu, jako samobójca.

Ówdzie bogaty kupiec przegrywa osmdziesiąt kilka tysięcy rubli przy zielonym stoliku, nie wstając od niego przez dni cztery i podrzyna sobie gardło z rozpacz. Tam znów panna jakaś zrywa pasmo młodego życia z zawiedzionej miłości i t. p.

Niema prawie dnia, aby takich smutnych nowin nie zapisała kronika bieżąca.

Mózgi ludzkie parują zatrutymi wyziewami.

Nie wiem, czy statystyka samobójstw jest naprawdę miarą moralności; ale gdyby tak było, smutne wnioski musielibyśmy wyciągać o chorach duszach i spaczonych umysłach, które się zrozpaczeniu niczem bronić nie umieją.

Bardzo musi być zachwiana wiara w Boga, w ludzi, w siebie, w pewne ideały i zasady szlachetne, skoro innego schronienia, innego oparcia, niż w grobie, nie widzą ci nieszczęśliwi, odrzucający życie, niby ciężkie jarzmo niewoli.

A co gorsza, że owe samobójcze zamachy popełniają sami ludzie młodzi, który drogę życia zaledwie rozpoczęli, jeszcze pod ciężarem cierpienia i doświadczeń jego utrudzić się, uznoić i ugiąć nie mieli czasu.

Samobójstwo, jako fakt oderwany, budzi smutne reflexy, ale jako wyjątek, nie uprawnia do ogólnych wniosków ujemnego charakteru; jednak gdy się powtarza tak często, jak w tych czasach, gdy występuje niemal gromadnie, staje się poniekąd objawem zatrważającym społeczno-moralnej natury.

Godzi się zwrócić uwagę na ten objaw, bo choć mu nie łatwo na razie zapobiedz, można w nim znaleźć ostrzegającą wskazówkę pewnych patologicznych zmian, jakie widocznie w organizmie społecznym zachodzą.

Nie chciałbym smutnym myśleniem puścić wodzy, rozbiegną się, rozproszą, a tu je skupić trzeba w pogawędce, której dotyczyć tylko wolno najważniejszych zagadnień i spraw bieżących.

Polityka stanowi dziś główny przedmiot ogólnego zajęcia, druty telegraficzne zamieniły się na czarowne jakieś struny harfy eolskiej przeciągnięte przez całą Europę, których dziwnego głosu słuchają wszyscy z wyteżeniem, słuchają, chociaż pojedynczych tonów w zgodne akkordy powiązać nie umieją i nie wiedzą: czym się to skończy: harmonią czy dyssonansem?

Oprócz przeglądów politycznych i depesz, zdaje się, że nikt nic innego z zajęciem czytać dziś nie potrafi.

Ruch wydawniczy, książkowy prawie ustał nie tylko ze zwykłych powodów martwego sezonu; może go „wyjaśniona sytuacja” na jesień bardziej ożywi.

Z prawdziwych cacek wydawniczych widziałem w tych dniach przesłiczne miniatury nie jako wydanie „Pana Tadeusza”, które Gebethner i Wolff mają już gotowe w eleganckiej ozdobnej oprawie, ale wypuścić nie chcą w tym czasie nieprzychylnym dla wszelakich druków.

Ten arcy-poemat naszej literatury wygląda, jak kieszonkowy brewiarzyk, z którym prawdziwy miłośnik poezji rozstawać się nie potrzebuje i ilekroć zechce umysł odświeżyć, duchem w pogodniejszą poszybować atmosferę, pogawędzić z przeszłością, sięgnie tylko do kieszonki kamizelki, po arcy-dzieło Mickiewicza i odetchnie jego wonią przez chwilę.

Szczęśliwy to był pomysł wydania w takiej wygodnej formie „Pana Tadeusza”; będzie on zapewne poprzednikiem nowej wspaniałej edycji, o której marzy młoda, ale bardzo już ruchoła firma księgarska w Krakowie Żupań-

skiego i Heumanna, która zamierza wydać wszystkie dzieła naszego wieszczka z ilustracjami. Złożyć się na nie mają talenta i ołówki najlepszych naszych rysowników.

Mickiewicz dawno już zasługiwał na takie uczczenie, ale nie dziwnego, że wydawcom naszym brakło odwagi do przedsięwzięcia w tak szerokiach rozmiarach i kosztownej formie, zwłaszcza wobec niezbyt zachęcających wyników, jakie tańsze i popularne edycje dotychczas przyniosły.

Bywa u nas jednak ten fakt szczególny, że droższe książki, zwłaszcza ozdobne, uświetnione obrazkami, oplacają się nieraz szybciej i lepiej, aniżeli wydawnictwa tanie, obliczone na szeroki zbył wśród czytającego ogółu.

„Marya”, „Pan Tadeusz”, „Stara baśń”, „Lilla Weneda”, „Wiesław”, „Demboróg”, „Pamiętniki kwestarsza” w dużym formacie z ilustracjami, więcej miały powodzenia pomimo wysokiej ceny, aniżeli stosunkowo zbiorowe a przystępniejsze wydania tych samych autorów.

Ludzkie oczy pociągają formę zewnętrzną, zachęcał piękny rysunek, złożona oprawa; kupowano te wydawnictwa, jako artykuł galanterii do ozdoby salonów, nie bibliotek; do patrzenia raczej, niż do czytania.

Dla wydawców wszystko to jedno, byle książka się rozchodziła po świecie i wróciła koszta swojej wyprawy.

Z tego względu mam jakąś dziwną wiarę w powodzenie ilustrowanej edycji Mickiewicza, jakkolwiek nieilustrowane dotychczas nie tak szybko się rozbiegły, jakby się tego spodziewać można było.

Od kwartału prasa warszawska powiększyć się ma dwoma nowymi tygodnikami barwy postępowej; jeden nosić będzie tytuł *Głos*, drugi *Rozwój*; pierwszego wydawcą będzie p. Kiersz przy redaktorskiej pomocy p.p. Michała Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego, drugiego redaktorem p. Wiktor Czajewski.

Trudno cokolwiek powiedzieć o przyszłych noworodkach, które dotąd światła dziennego jeszcze nie oglądały; skoro powstają, widać, że są potrzebne, a czy potrafią utrzymać się na zajętych stanowiskach — zobaczymy niebawem.

Uprzedził je słowem rozwagi p. Straszewicz w „Wędrowcu”, zastanawiając się nad tem, dlaczego powstają i jakich błędów nowe pisma postępowe wystrzeżać się powinny.

Chodzi mu o zaniechanie pewnej prywatności, osobistych uprzedzeń, tej małej, drobiazgowości miary w sprawach poważnych, cały ogół obchodzących, jakimi się osobistości posługują.

Rzecz nie człowiek, treść nie sama forma, niech stanowi przedmiot i cel rozpraw publicystycznych. Szarpanina i skalowanie namiętne, albo na odwrót pogardliwe milczenie o sobie, to już taktyka przestarzała, nadużyta, — byłby czas porzucić ją zupełnie.

W obozie postępowym, jak w każdym innym, potrzebną jest większa solidarność na miejscu rozprężenia, skupianie sił, rozstrzelonych dzisiaj nie przez różnice przekonań, poglądów i dążeń, ale przez osobiste jakieś nieporozumienia. Nie przedmiotowe, lecz podmiotowe kwestye wywołały te dzisiejsze rozterki, nie kwestye, ale ludzi pogodzić z sobą trudno.

Jeżeli to sama ma być w pismach nowych, zakładanych przez dwie frakcje postępowe, jeśli ma przybyć tylko dwóch nowych przeciwników przeciw dwóm starym przeciwnikom dlatego, aby powstał kwartet nowych dyssonansów zamiast duetu, to lepiejby było czasu, kapitału i dobrej wiary nie ryzykować.

Z tego, co słyszę postronnie, ma być inaczej, a zatem zapewne i lepiej; czekajmy tedy cierpliwie, aż się *Głos* odezwie, a *Rozwój* rozwinie. Na poważnych i żywotnych organach prasa zyskać może; bibuły zadrukowanej, makulatury mamy tyle, że zawijać w nią niema czego.

Nie wiem, czy istnieje jeszcze w projekcie to *curiosum* wydawniczego pomysłu, jakie miało się ukazać w formie „Tygodnika biograficznego”,

organu dla sławy i reklamy żywych i umarłych, ale śmiem powątpiewać o potrzebie takiego organu, a raczej takiej trąby w prassie naszej, która grzmiałaby fanfary na cześć wielkich i małych. Małym nawet więcej tonów i zadęcia poświęcałyby prawdopodobnie, bo wielcy obejdują się bez rozgłosu za pomocą portretów, życiorysów i szumnych nekrologów.

Natomiast specjalny *Tellus* poświęcony cukrownictwu i gorzelnictwu ma być słodko-spiritualnym przedstawicielem interesów tych dwóch gałęzi, istnych konarów naszego przemysłu.

Mówią też o zbudzeniu z letargu *Tygodnika kucharskiego*, który przestał dysponować obiady w naszej prassie, zastawiać stoły i warzyć teoretycznie potrawy. Nie wiem, czy nieboszczyk wskrzeszony z grobu potrafi więcej życia okazać, niż po narodzeniu swoim a wątpię, aby go nasze kucharki czytały, jeśli nie będzie zamieszczal sennika, wiadomości z Bielan i Saskiej Kępy, życiorysów strażaków i dowcipów z Żelaznej Bramy.

I jeszcze jeden tygodnik ma powiększyć naszą prassę: „Tygodnik malarski”, redagowany przez artystów.

Przyznam się otwarcie, że nie widzę celu w tem wydawnictwie.

Nasze ilustracje na wyścigi starają się popularyzować sztukę, mamy nawet specjalny dla niej organ w *Echu artystycznym i teatralnym*; najslabszy w rzędzie dział krytyki nie nowego pisma, ale nowych ludzi potrzebuje. Zkąd tu wziąć tych znawców, którzy mieliby prawo wyrokować jak sędziowie przysięgli o dziełach sztuki i talentach artystów, a zarazem umieli swoje sądy formułować politeracku?..

Przykro powiedzieć, ale nasza krytyka artystyczna ma charakter zawsze jeszcze bardzo dyletancki. Mielismy przecież krytyków, którzy nigdy w życiu żadnej galerii nie widzieli, o oryginałach Rafaela i Michała Anioła pojęcia nie mieli, a pisywali szumne rozprawy o sztuce, naspikowane terminami specjalnymi i uważali się w prawie wyrokować o wszystkim z góry.

Tacy jeszcze lepsi bywają od tych pół-mędrców, którym się udało liznąć okiem kilka obrazów starej szkoły u brzegu Włoch i przeczytać kilka popularnych studyów estetycznych. Zdaje się im potem, że Lübke, Ranzoni, a choćby tylko Albert Wolff to hetki-pentelki, które się także trochę znają na malarstwie.

Otóż wobec takiego stanu rzeczy, pytam: kto będzie o tej sztuce pisał w nowym tygodniku, jeśli na specjalnych sprawozdawców do istniejących pism trudno znaleźć odpowiednich i poważnych prawdziwie kandydatów?.. Jestem przytem tak śmiały i bezczelny, że naszym artystom zawieram więcej, jako rysownikom lub malarzom, niżeli jako literatom i nie mam tyle zaufania do ich piór, ile do ich pędzli i ołówków. Znam wprawdzie kilku bardzo intelligentnych i zdolnych Apellesów, którzy się dobrze wypisać umieją, ale ci nie zechcą narażać się na nienawiść kolegów drukowanymi krytykami, podejrzanymi zawsze o stronność i złą wolę.

Kto zatem pisywać będzie, a co ważniejsza: kto to wszystko przeczyta?

Nasz świat artystyczny z małymi wyjątkami z kranca w kraniec nie lubi czytać, nie zajmuje się chętnie lekturą, czasu nie ma po temu, a często i ochoty.

Co tu się dziwić!? przecież wśród literatów coraz więcej mnoży się tych do pisania, a coraz mniej czytających przybywa. Znam redaktorów którzy własnych dzienników nie przeglądają uważnie, znam autorów, którzy swoich artykułów po napisaniu w druku nie widują, a znam i tych intelligentnych a utalentowanych literatów, co to i czytać, i pisać nie lubią, choć ich do tego przyjęty tytuł zobowiązuje.

W dziedzinie sztuki dramatycznej bywa jeszcze gorzej: czyta się tylko recenzje i to te najczęściej ustępy, które się do samej gry odnoszą. Powiecie, że przesadzam, gdy was zapewnię, iż znałem aktorki i aktorów, którzy w sztuce tylko swoją rolę czytali i znali treść jedynie tych

scen, w których sami udział przyjmowali. Całość była im obojętną.

O studiach, o kształceniu się, zbieraniu wiadomości, szukaniu źródeł, poznawaniu wzorów znakomitych literatury europejskiej—mowy niema.

Ktoby się tam zajmował takimi rzeczami, kiedy najprzód brak czasu poza próbami i spektaklem!—a potem za taką naukę... gaży nie płacą.

Nie stosuję tego bezwzględnie do wszystkich, ale do bardzo znacznej większości.

Jakże tu potem z czystym sumieniem robić wyrzuty publiczności, że zamało zajmuje się literaturą i dziennikarstwem!

Jednak nie powód w tem, aby godzić się z takim stanem rzeczy; trzeba go wszelkimi środkami naprawiać, zachęcać do czytania się i kształcenia umysłu.

Opowiadał mi kiedyś Jerzy Brandes, do jakiego stopnia rozpowszechnione jest w jego ojczyźnie zamiłowanie do czytelnictwa. W Kopenhadze i w innych miastach nie istnieją wypożyczalnie książek wprawdzie, jak u nas, ale tam każdy człowiek oświecony uważa sobie za obowiązek posiadać swą własną biblioteczkę, trzymać dziennik i zajmować się wszystkimi nowościami wydawniczymi.

Pożyczyć książkę od kogo uchodzi za nieprzyzwoitość, a nie oddać jej, za przestępstwo. Zdaje się, że w rodzinie każdy człowiek posiada swój własny egzemplarz bardziej poczytnego dzieła.

Ach, czemu nie mieszkamy w Danii, albo Szwecyi i Norwegii?

Do książek trzeba się przyzwyczajać od wczesnych lat, chociaż i zamiłowanie wrodzone do takiej szlachetnej rozrywki trzeba przynieść ze sobą na świat. Wrażenia dzieciństwa i wpływy wychowania wiele tu dobrego zdziałać mogą; dlatego powitałem z radością pogłoskę o zamiarze założenia u nas czytelnicy dla dzieci. Byłaby to wielka wygoda i pomoc dla rodziców, nie mogącychłożyć wiele na książki dla swoich pociech a przytem ułatwienie wyborowej i urozmaiconej lektury, odpowiedniej smakowi i pojęciom młodocianego wieku.

Zdaje mi się, że projekt ten opłaciłby się niezawodnie i pod względem materialnym dobrze, a wśród pokolenia maluczkich dałoby się nim rozbudzić chęć żywszą do czytania, choćby przez dobry przykład i naśladownictwo, które u dzieci bardzo ważną rolę odgrywa. Jeden mały abonent dziesięciu innych zjednałby zczasem czytelnicy.

Zarząd ogrodu zoologicznego, który z takim powodzeniem zaprowadził w zwierzyńcu letnie zabawy dla Milusińskich, a w zimie zamierza urządzić poglądowe lekcje z zoologii i nauk przyrodniczych dla swoich drobniutkich gości, mógłby w ten programat pedagogicznych rozrywek wprowadzić i czytanie na miejscu odpowiednich dziełek, popularyzujących wiadomości ze świata zwierzęcego i z dziedziny przyrody.

Zamiast wachlarzyków, baloników, notesików i t. p. drobiazgów rozdawanych dzieciom w upominku, praktycznej i pożytecznej byłoby obdarzać je wizerunkami zwierząt pomieszczonych w Ogrodzie, z krótkim po drugiej stronie objaśnieniem, albo też popularnymi książeczkami, bajeczkami i t. d.

Koszt nie byłby większy, gdyby sam Zarząd zajął się temi wydawnictwami, obliczonemi na większą ilość egzemplarzy i odbył znacznie szybciej w ciągu całego roku.

Staramy się o fizyczne dobro naszych dzieci: nie zapominajmy o moralnym pożytku dla nich.

Wszystko to przecież kapitał oddany na lichwę przyszłości.

Quis.

## ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO we Lwowie.

(Dokończenie).

VI.

*Uczta pożegnalna, dwie wystawy, obecny stan i zadanie Towarzystwa Pedagogicznego.*

Walne zjazdy trwają zazwyczaj przez trzy dni, w ciągu których odbywają się trzy posiedzenia; teraz zaprowadzono nowość: zwyczajowe trzy posiedzenia odbyć się musiały w ciągu dwóch dni, wyznaczonych na przyjęcie gości we Lwowie. Trudno też było z czasem się obliczyć zwłaszcza, że potrzeba go jeszcze było na zwiedzenie Muzeum Dzieduszyckiego, Zakładu Ossolińskich, muzeum przemysłowego, gmachu sejmowego, że już nie wspomnimy o imponującej cerkwi metropolitalnej pod wezw. Ś-go Jerzego i o innych osobliwościach miasta Lwowa. A przecież były jeszcze dwie wystawy pedagogiczne; mogliśmy tylko pobieżnie im się przypatrzeć, zostawiając szczegółowe zwiedzenie do dnia następnego. Tymczasem wypadało śpieszyć na „zebranie towarzyskie“: urządzone w sali Frohsinn, w głośnym hotelu George'a zamiast „uczty pożegnalnej“, wyprawianej zwykle przez miasto. Przyznać trzeba, że prof. Dr. Gustaw Roszkowski (znany w swoim czasie i publiczności warszawskiej z odczytów i organizowania poranków muzycznych), wywiązał się ze swego zadania, jako prezes komitetu przyjęć, wybornie. „Zebranie towarzyskie“ przeciągnęło się daleko dłużej, niż się spodziewano; coś więcej niż skromne „dania“ zatrzymało biesiadników długo przy stole. Gęste mowy toastowe, wyborne śpiewy towarzyszy „Lutnia“, melode narodowe do brej orkiestry przeplatały się bezustannie; była to istotna powódź słów i tonów. Dr. Roszkowski wniósł pierwszy toast na cześć Cesarza Franciszka-Józefa, a drugi na cześć stanu nauczycielskiego. Prezes Sawczyński, dziękując, pije na cześć miasta i prezydenta Dąbrowskiego (nieobecnego skutkiem choroby w rodzinie); prof. Habura pije na cześć komitetu przyjęć w ręce Dra Roszkowskiego. Inne toasty były: na cześć duchowieństwa, kobiet-nauczycielek, hr. Dzie duszyckiego, „Sokoła“, „Lutni“ (wzniesiony przez Siedmiograj), i t. p. Kiedy p. Badańczyk z Krakowa przemówił na cześć Sawczyńskiego, co biesiadnicy poparli śpiewami: „Mnohaja lita“ i „Niech żyje nam“; odpowiedział tenże długą mową na temat jedności, potrzebnej zawsze i wszędzie, a najpotrzebniejszej w wychowaniu. Przemówieniu p. Bilińskiego popolsku i porusku imieniem nauczycielstwa ludowego towarzyszyły śpiewy: „Mnohaja lita“ i „Mir wam bratia.“ Po raz czwarty przemówił Sawczyński na zakończenie uczty i na pożegnanie.

Wiadomo, że w Galicyi od pewnego czasu za panował kierunek praktyczny w szkole, kierunek ten coraz się zwiększa, aż znowu w zwykłej kolei rzeczy dojdzie do przesady i w inną znowu stronę zawracać przyjdzie. Tymczasem hasło dzisiejsze w szkole galicyjskiej: kierunek rolniczy, rękodzielniczy, przemysłowy. Mimo braku uzdolnionych odpowiednio nauczycielek robót, starannie systematycznie dość są one uprawiane w szkołach galicyjskich, szczególnie po seminariach żeńskich i szkołach wydziałowych.

Gazety lwowskie oddają pochwały robotom kobiecym w szkołach miejscowych; pierwszeństwo w porządku rzeczy przynależało szkole wydziałowej ośmioklasowej, której wystawę członkowie zjazdu zwiedzali. Przedstawiono tu w wielkiej liczbie ćwiczenia stylistyczne i rysunki, a w większej jeszcze—roboty, które przyczyniły się także i do przystrojenia sal wystawowych. Przejrzawszy szczegółowo użyte nam ćwiczenia

stylistyczne, podziwialiśmy różnorodność i trafność niektórych tematów, staranność w ich opracowaniu, czystość pisma, a zwłaszcza drobiazgową cierpliwość nauczycieli czy nauczycielek w ich poprawianiu. Starannie też tu się prowadzi „stylistyka praktyczna“ to jest podania, próby, kwity, rachunki, świadectwa i t. p.—Wprawdzie niektóre z ćwiczeń, będąc zregestrowaniem nabytych wiadomości z fizyki, mineralogii, geografii, historii literatury i t. p.—*stylizacyjnymi* nie są;—inne znów (np. „Jak wygląda nad Amazonką“) uznać musimy za nieodpowiednie czy źle sformułowane; nie uważamy się jednak za powołanych do czynienia tutaj poważnych zarzutów, jako za mało obeznani z odpowiednimi wymaganiami władzy szkolnej.—Rysunki prowadzone w kierunku praktycznym, w zastosowaniu do wykwalifikowanych kobiecych świadczą o umiejętności kierownictwie. Z licznych nader okazów robót kobiecych, ułożonych klassami, wnosić było można nietylko o umiejętność, wprawie uczennic, ale i o sposobie, w jaki je uczono. Zachowano tu i uwydatniono stopnie, po których uczennice idą. W klasie II roboty krzyżkowe na kanwie, w III roboty drutowe z włóczki i bawełny, w IV szydełkowe i początki szycia białego, uwydatnione na płatkach w V dalsze stopnie szycia (szwy różne na płatkach) tudzież wyszywania kolorowe robotą krzyżową, siatkowanie (pięknie w tym oddziale przedstawiały się ręczniki, kaftaniki, koszule, wyszywane kolorowo na motywach ludowych ruskich), w VI początki haftu, dzierganie, haft płaski (sznurkowanie) na płatkach i na wyrobach np. poszewkach, fartuszkach i t. p., w kl. VII haft wypukły (atłaskowy), początki kroju bielizny, w klasie VIII haft kordonkiem złotem na jedwabiu, aksamicie, znaczenie ozdobne haftem wypukłym. Z wystawy tej wynieśliśmy przyjemne nader wrażenie i to przekonanie, że nauczycielki, które nie szczędziły chętnych objaśnień zwiedzającym, spełniają swoje obowiązki nietylko ze znajomością rzeczy, ale i z młodzieńczym zapałem i zamiłowaniem.

Z początkiem roku szkolnego zaprowadzają się przy tej szkole, podobnie jak istnieją już w Krakowie, *kursy fachowe* (szycie, krój, krawiectwo, buchalterya, korespondencya handlowa). Wystawa pokazała, że uczennice dobrze przygotowane do tych kursów nie zabraknie. Zamianowano już nauczycielkę robót fachowo przygotowaną w znanym zakładzie w Reutlingen (w Wirtembergii) i drugą, b. uczennicę wzorowo prowadzonej szkoły krakowskiej.

Założymy mocno, że brak miejsca nie pozwala nam szerzej się rozpiszać o znaczeniu robót ręcznych w szkole i o zadaniu wystawy takich robót; mieliśmy bowiem sposobność przekonać się, że u nas, nawet w sferach pedagogicznych, panują niejasne, a nawet sprzeczne pojęcia w tym względzie, nauka zaś robót kobiecych, ujęta w umiejętną metodę, w dziełach specjalnych opisana, nie znalazła jeszcze przystępu do naszych pań, w grubym empiryzmie pograżonych. Terminator w warsztacie, a uczeń w szkole—to co innego; wystawa rękodzielnicza, a pedagogiczna, to nie jedno; majstersztyk, a ćwiczenie szkolne, to gruba różnica. Istnieje, o czem już i w polskim piśmiennictwie pedagogicznym nie tajno, kierunek, domagający się usunięcia *rzemieślnika i rzemieślnika ze szkoły elementarnej, a wprowadzenia natomiast nauczyciela i nauki zręczności*; na czem rzecz ta polega, pisaliśmy już w zeszytowanym sprawozdaniu. Tu tylko dodajemy, że we Lwowie z ciekawością przyglądano się 100 modelom szwedzkiej nauki zręczności (slöjd), tudzież odpowiednim okazom, wyrobionym już w szkole wydziałowej w Sokalu; dyrektor tej szkoły p. Siedmiograj, chętnie udzielał objaśnień, wykazując różnice w zastosowaniu tych modeli do naszych warunków—potrzeb—a nawet gatunku drzewa. Metoda szwedzka nie przenosi się żywcem na grunt galicyjski, tylko przeszczenia.

W programacie zjazdu mieściła się jeszcze wycieczka do zakładu hr. Skarbka dla sierot i starców w Drohowyżu; zaszły przecież ważne trudności w jej zorganizowaniu, skutkiem tego kilku tylko pedagogów na swoją rękę zwiedziło olbrzymi ten zakład, zostający obecnie pod kie-





## O zmysłach i ich wrażeniach.

(Słowo wstępne. — Wrażliwość protoplazmy. — Ameba. — Czucie i ruch. — Zmysł dotyku, smaku, powonienia, słuchu, wzroku. — O prawdziwości wrażeń zmysłowych.

Pośrednikiem pomiędzy żywym organizmem a światem zewnętrznym są normalnie funkcjonujące zmysły. Za ich pomocą odbieramy wrażenia, za ich pośrednictwem jesteśmy w stanie zdać sobie sprawę: co się z nami i co się wkoło nas dzieje. Gdyby organizm pozbawionym był zmysłów, stałby się podobnym do tworów roślinnych a nawet minerałów; rośliny bowiem w pewnym stopniu posiadają własność czucia. Niema chyba człowieka, któryby choć raz w życiu nie zadał sobie pytania i nie zastanowił się nad tem: w jaki sposób czuje t. j. dotyka, wacha, smakuje, słyszy i widzi; w jaki sposób czuje ból lub rozkosz, ciepło i zimno. Są to kwestye bardzo ciekawe, dosyć zawiłane; zrozumienie ich dokładne wymaga znajomości wielu przedmiotów naukowych a przede wszystkim anatomii, fizyki, chemii i t. p., dla tego też uprzedzić muszę, że pogadanka niniejsza nie wyczerpie w zupełności przedmiotu; zadaniem mojem jest tylko w najogólniejszych i najzrozumialszych słowach podzielić się z tem, co nauka na tem polu zrobiła z łaskawymi czytelnikami *Bluszczu*.

Ażeby zrozumieć w jaki sposób ciało nasze porusza się i czuje, zwrócić się należy do najniższych tworów świata zewnętrznego, do tak nazwanych ameb. Ameba składa się z jednej komórki, której treść stanowi tak zwana protoplazma, we środku i nazewnątrz nieco zgrubiała; są to tak nazwane jądro i powłoka czyli błona komórkowa. Protoplazma takiej ameby pod względem składu chemicznego należy do ciał białkowatych. Zamieszkuje ona wody słodkie i widzi ją być może jedynie za pomocą mikroskopu.

Otóż jeżeli będziemy taką amebę, która bez ustanku wypuszcza w rozmaitych kierunkach wypustki, nakłuwać cieniutką igłą, zobaczymy, że wypustki jej w tej chwili wnikają w ciało. przy silniejszym nakłuciu zaś cała ameba się silnie skurczy. Jest-to bodziec fizyczny; można jednakże tensam efekt wywołać za pomocą bodźców chemicznych, i tak: dodawszy do wody, w której ameba żyje nieco soli kuchennej, spostrzeżemy podobne kurczenie się jej jak po nakłuciu, przy zwiększonej ilości soli ameba przestaje zupełnie się kurczyć t. j. ginie.

Widzimy tedy, że ameba posiada dwie wspólne, charakterystyczne cechy właściwe wyższemu ustrojom: czucie i ruch. Życie bowiem objawia się czuciem i ruchem t. j. wrażliwością i oddziaływaniem.

Jakkolwiek protoplazma komórkowa należy zawsze pod względem chemicznym do ciał białkowatych, jednakże bywa ona rozmaitego typu, i tak: raz przeważa w niej Nukleina i Lecytyna, drugi raz znów Myosina i Glikogen, w pierwszym razie komórka będzie czuciową; w drugim zaś ruchową.

U ameby oba te pierwiastki mieszczą się w jednej komórce, i dlatego posiada ona własność i poruszania się i czucia. U wyższych istot komórki ruchowe i czuciowe są rozklasyfikowane i tworzą oddzielne systemata czucia (system nerwowy) i ruchu (systemat mięśniowy). — skutkiem właśnie tej klasyfikacji u zwierząt wyższych ruch i czucie odbywają się owiele subtelniej, aniżeli u istot niższych.

Organizm człowieka składa się z milionów komórek podobnych do ameby. Komórki tak nazwane czuciowe, stanowiące systemat nerwowy t. j. mózg, rdzeń kręgowy czyli centra, i nerwy peryferyczne, czyli obwodowe, posiadają tę własność, że są wrażliwymi na wszelkiego rodzaju bodźce zewnętrzne. Zakończenia tych nerwów wchodzą w skład organów, zwanych organami zmysłowymi. Organów tych mamy kilka, z których każdy wrażliwym jest na pewne odrębne

bodźce i, odebrawszy za ich pośrednictwem wrażenie, przesyła je po nerwach peryferycznych do mózgu.

Nie będziemy zatrzymywać się dłużej nad ogólnymi wiadomościami o wrażliwości, lecz przyjrzymy się pojedynczym zmysłom.

Zmysł dotykania mieści się w skórze, w niej-to bowiem rozgałęziają się zakończenia nerwów, które wrażliwymi są na dotknięcie i przenoszą wrażenia do mózgu. Nie cała skóra jest jednakowo wrażliwą na dotyk; najbardziej czułymi są końce palców i wargi, w nich bowiem najliczniej nagromadzone są tak nazwane brodawki dotykowe. Brodawki te mieszczą się tuż pod naskórkem, który jest błoną dosyć sprężystą, zabezpieczającą te delikatne twory od zbyt silnych wpływów zewnętrznych.

Zapomocą zmysłu dotyku, jesteśmy w możności ocenić twardość i miękkość ciał a także ich gładkość i chropowatość. Dokonywamy tego za przez samo tylko przyłożenie palców do danego przedmiotu i następnie naciskanie lub też przesuwanie ich po przedmiocie; czyniąc to, w czem wielce pomocnym jest tak zwany zmysł mięśniowy, przekonywamy się o twardości i gładkości przedmiotów nas otaczających; za pośrednictwem tego zmysłu dowiadujemy się jeszcze o ich kształcie i wielkości.

Wielce do zmysłu dotyku zbliża się zmysł smaku. Organem jego jest język, a także błona śluzowa ust i gardzieli. Jeżeli poprzedni zmysł przeznaczonym był do rozróżniania własności ciał stałych, to ten, o którym obecnie mówić zamierzamy, ma za specyalność rozróżnienie własności płynów t. j. ich smaku. Co się zaś tyczy ciał lotnych, czyli gazów, to takowe rozpoznawane są zapomocą odrębnego zmysłu zwanego zmysłem powonienia, nad którym poniżej się zastanawimy.

Widzieliśmy że brodawki dotykowe skóry pokryte są dosyć tęgą powłoką i że wrażliwość ich pobudzoną być może dopiero przez ucisk wywołany ciałem stałym; płyny, szczególnie rzadkie, prawie żadnego działania na nie nie wywierają, a już o smaku żadnego wyobrażenia nabrać nie jesteśmy w stanie za ich pośrednictwem.

Otóż ciałka smakowe pokryte są cieniutką błoną nazwaną błoną śluzową, która nie tamuje w tak wysokim stopniu zetknięcia się owych ciałek z płynami, jak to ma miejsce na skórze z ciałkami dotykowymi. Posiadają one jeszcze inną właściwość, mianowicie: protoplazma ich jest w stanie rozróżnić naturę płynów, czyli ich smak, i ztąd nazwano je ciałkami smakowymi.

Odbywa się tu w pewnym stopniu proces chemiczny. Wiadomo, że proces chemiczny polega na ruchu atomów, które, pod działaniem tego procesu wywołanego zetknięciem się dwóch ciał, rozczepiają się, przyczem tworzą się nowe związki. Otóż, przy zetknięciu się brodawek smakowych z pewnymi płynami odbywa się w nich taki ruch atomów, który przechodzi do mózgu za pomocą odpowiedniego nerwu, jako wrażenie smaku.

Język, podniebienie miękkie i gardziel pokryte są brodawkami smakowymi, i każda z tych miejscowości posiada grupę brodawek, wrażliwych na pewne smaki, których głównych rozróżniamy cztery mianowicie: słodki, gorzki, słony i kwaśny.

Każdy przekonać się może, że smak słodki odczuwamy za pomocą końca języka, kiedy jego tył i gardziel wrażliwymi są na gorycz, smak słony zaś głównie odczuwamy za pomocą brzożów bocznych języka, a kwasy na podniebieniu; widzimy tu tedy nadzwyczaj subtelną klasyfikację tego zmysłu, chociaż zdać sobie z niej sprawnie nie łatwo.

Że przy smakowaniu zachodzi proces chemiczny, przemawia także ta okoliczność, że całe grupy ciał, posiadające jednakowe własności chemiczne wywołują podobne uczucie smaku np. kwasy wszystkie posiadają smak kwaśny, sole słony, a wreszcie pewna grupa ciał zwanych alkaloidami, która posiada wiele bardzo wspólnych własności chemicznych, posiada smak gorzki.

Błona śluzowa ust prócz ciałek smakowych, zawiera wielką ilość ciałek dotykowych, które dają nam pojęcie o wielkości, gęstości i innych własnościach pokarmów i które, aczkolwiek przytem nie zachodzą procesy chemiczne, tworzą takie smaki, jak chłodzący, szczypiący, gryzący, palący, ściągający i t. p. Wogóle własność smakowania jest wielce indywidualną, a bardzo wiele zależy także od tak zwanego wykształcenia smaku na pewne potrawy; jako przykład przytoczymy chociażby porter tylko, który u niektórych osób sprowadza przykre wstrząśnienie, kiedy inne piją go z lubością.

Przechodzimy z kolei do trzeciego: zmysłu powonienia. Organem tego zmysłu jest nos, a raczej błona śluzowa wyściełająca jego wnętrze, a nazwana błoną Schneidera. Błona ta zaopatrzona jest w liczne ciałka czuciowe, które wrażliwymi są na wszelkiego rodzaju wonie i ztąd zowią się ciałkami węchowymi.

Wonią nazywamy pewną własność gazów, które zetknawszy się z owymi ciałkami węchowymi, wywołują w nich proces chemiczny, t. j. ruch atomów, który przechodzi do mózgu pod postacią zapachu. Nietylko gazy jednakże mają tę własność: są pewne ciała stałe lub też płyny od których odrywają się niesłychanie drobne cząstki i wraz z powietrzem dostawszy się do błony śluzowej nosa wywołują wrażenie zapachu.

Zmysł ten u człowieka jest jednym z najmniej wykształconych; w daleko wyższym stopniu wykształcenia znajdujemy go u zwierząt. Z tego powodu klasyfikacja woni dotąd nie została uskuteczniłą, tak jak za pomocą zmysłu smaku określono słodczy, gorycz i t. p.; za pomocą słuchu słyszący a za pomocą wzroku kolory: biały, czarny, czerwony, tak za pomocą zmysłu powonienia nie jesteśmy w stanie określić bliżej zapachów i skutkiem tego noszą one nazwy przedmiotów które je wydają i tak mówimy zapach piżma, róży, mięsa i t. p.

Przyjrzymy się teraz zmysłowi i słuchu, którego organem jest ucho. Jest to zmysł owiele więcej skomplikowany aniżeli poprzednie, zarówno pod względem anatomicznym budowy ucha, jak też i fizjologicznym, to jest sposobu odbierania wrażeń zmysłowych i przesyłania ich do mózgu, i, z tego powodu poświęcimy mu cokolwiek więcej miejsca.

Prawie wszystkie ciała posiadają w mniejszym albo większym stopniu sprężystość. Otóż, jeżeli takie ciało sprężyste wprawimy w ruch czyli drganie, to wtedy otrzymamy dźwięk. Drganie to ciała czyli dźwięk przychodzi do naszego ucha zapomocą falowania powietrza. Wszystkie narzędzia muzyczne, a także i nasza krtań polegają na tem, że wprawione w drganie znajdujące się w nich ciała sprężyste wywołują falowanie powietrza, które uderza o błonę bębenkową, a ztąd udziela się płynowi znajdującemu się w uchu średnim, w którym kąpią się zakończenia nerwów słuchowych.

Aby dokładnie zrozumieć w jaki sposób ucho funkcjonuje, wypada pokrótce przynajmniej zapoznać się z jego budową anatomiczną.

Ucho składa się z trzech części: z ucha zewnętrznego, środkowego i wewnętrznego.

Konchy uszu, pospolicie nazwane uszami, w postaci nieregularnie zgiętych blaszek, nie odgrywają żadnej, albo bardzo podrzędnej roli w procesie słyszenia, ludzie bowiem pozbawieni ich słyszą równie dobrze jak ci, u których są nadmiernie rozwiniętymi. Stanowią one rodzaj ochrony od postronnych przedmiotów a przede wszystkim owadów, któreby tam dostać się pragnęły. Poza niemi rozciąga się przewód słuchowy zewnętrzny w postaci lejka, zwązającego się do wewnątrz i zakończonego tak nazwaną błoną bębenkową.

Dokończenie nastąpi.

## BYLE NIE PANNA.

(Dalszy ciąg).

— Wistocie najniespodziewaniej w świecie przybywam w te strony — odparł Maryan — ale wskutek jakiegoś magnetycznego sympatycznego i ja wczoraj u Zgórków cały wieczór przysłuchiwałem się rozmowie o domu państwa. Musiałem im opowiadać o moich stosunkach z mężem pani, a mnie nawzajem o pani opowiadano.

— O moim mężu i o mnie? — wtrąciła pani rumieniąc się, a rumieniec ten dodał nowego uroku jej bladej twarzyczce.

— Jaka skromna! — pomyślał sobie Maryan, czuje, że ją przede mną chwalo i rumieni się jak panienka! Bardzo to ładna rzecz taka skromność w mężatce.

— Niech to pani nie dziwi — mówił dalej. — Rozumie się, że jako najbliższy i najdawniejszy przyjaciel Stefana, chciałem się dowiedzieć, jaką jest i jak wygląda ta pani Stefanowa, która była dla mnie prawdziwą niespodzianką.

— Jakto? — wtrąciła pani — więc pan nic nie wiedział o ożenieniu się Stefana?...

— Aż do dnia wczorajszego nie miałem pojęcia o tym szczęśliwym wypadku. Od czasu bowiem, jak Stefan był u mnie przed czterema laty po skończeniu kursów, jużśmy się potem nie spotkali ani razu, a mieszkając tak daleko, nie ceśmy nie wiedzieli o sobie.

— A korespondencja?

— Korespondencja?... Może to i dobra rzecz i wielce używana między plcią piękną, ale między nami niepopularna — mówił Maryan. — Nie pisywaliśmy do siebie, bo i na co to było potrzebne! Wszak wiedzieliśmy, że skoro się spotkamy, to zawsze z taką samą serdecznością padniemy sobie w objęcia, jak to właśnie i dziś miało miejsce. Ale odbiegłem od przedmiotu. Chciałem właśnie powiedzieć, że jakkolwiek życzliwie opisywane panią u Zgórków, ale niedokładnie, i jakkolwiek wdzięczny odmalowano mi obraz, nie zgadza się on jednak z rzeczywistością i powiem pani otwarcie, błędnie...

— Przepraszam pana, niechże pan pozwoli... wytłómaczyć sobie, jak rzeczy stoją właściwie...

— O niechże mi pani nie poczytuje za złe mojej otwartości! — podchwycił Maryan — bo ja tu przyjechałem z tem, że pani od razu zechcesz mnie uważać jako starego przyjaciela, który zjadł beczkę soli z jej mężem...

Pani zrobiła minkę, jakby tłumiąc mimowolny uśmiech, a Maryan, kładąc to wszystko na karb skromności, mówił z coraz większym zapalem.

— Stefan uprzedził mnie z góry, żeś pani szczerą, naturalną; więc też chciałbym, aby i mnie wolno było być szczerym. Co prawda, nie potrafiłbym inaczej: nic w bawelnę obwiązać nie umiem i zwykle co myślę, to mówię. Jak mnie pani lepiej poznasz, mam nadzieję, że będziesz wyrozumiała. Mówiono mi też i o Stefanie, że z niego znakomity gospodarz, gdyż każdą rzecz przedsięwzię z zapalem, a wykonywa z energią!

— Wistocie — rzekła pani z uśmiechem — że praca jego i wytrwałość zasługują na uznanie, tylko chciałabym panu wyjaśnić, że...

— Ale proszę pani, tu nie potrzeba żadnych wyjaśnień, bo każdy widzi, że to jest uwielbienia godnym, iż pani z nim współczuje i jak mi opowiadano, w wielu razach pomaga mu nawet!

Wielkie to szczęście mieć taką pomoc w żonie! Prawdziwie, że nadzwyczaj się cieszę ze wszystkiego, co tu widzę i słyszę. a jeżeli można powinnować Stefanowi, to i panią także trzeba nazwać szczęśliwą, żeś trafiła na takiego męża, jak on. Bo i ta jego niewyczerpana pogoda i wesołość, jakież to dar nieoceniony w życiu codziennym! Z takim człowiekiem to i przeciwności nie straszne... Ale jakże się chowa synek pani? Stefan, chwając się swoim szczęściem domowym, tylko pobieżnie wspominał mi o nim, więc radbym wiedzieć: czy zdrowy? i jakiego wieku? to jest wiele miesięcy, czy też tygodni liczy już ten kawaler, którego zapewne poznam dziś lub jutro.

Tu Maryan spostrzegł, że kiedy wspominał o synku, pani zaczęła się dusić od śmiechu, i jakby nie mogąc wytrzymać, wybuchła na głos. Zdziwiony tem trochę, wyobraził sobie, że to zapewne z wielkiej uciechy macierzyństwa i zaczął śmiać się także. Patrzyli więc sobie w oczy i śmieli się oboje. Lecz nagle pani spoważniała i uspokoiwszy nerwowe drganie, które jeszcze biegało koło ust jej, chciała coś mówić, kiedy na balkonie dało się słyszeć lekkie stapanie. U drzwi wchodowych zaszeleściła suknia i ukazała się w nich młodzieńcza osobka, wysoka, wysmukła, ubrana w bladuróżową sukienkę, z lekkim białym szalem przerzuconym przez jedno ramię. Weszła do pokoju z jakąś szczególną powagą w ruchach i zbliżyła się do stołu. Jasne włosy puszczone w dwa ogromne warkocze sięgały poniżej kolan, na białych licach miała delikatne rumieńce, rzekłbyś listki różane, na ustach uśmiech czarujący, a w turkusowych oczach naiwność prawie dziecienną. Rysy były klasyczne, jak greckiego posągu.

To piękne zjawisko takie jednak zrobiło wrażenie na Maryanie, że omal nie podskoczył z przerażenia.

— Alinko — ozwała się tymczasem pani siedząca przy samowarze — takeś się długo zabawiła w ogrodzie, i Jan nie mógł cię znaleźć. Nie wiesz, że mamy niespodzianego gościa. Pan Maryan przyjaciel i kolega Stefana, moja siostra — dodała zwracając się do Maryana.

Ten powstawszy, skłonił się, pochylając głowę niziutko, aby ukryć mimowolny grymas, którym odpowiedział na uśmiech przybyłej. Masz tobie! — myślał w duchu, otóż jest i panna w domu na moje utrapienie, widać gaska jakaś naiwna... Och, że też na świecie nigdzie uciec nie można przed temi pannami! tam nawet rosna, gdzie ich nie sieją! — I z tłumionem westchnieniem usiadł na swoim miejscu.

— Bardzo się cieszę — ozwała się piękna blondynka, podczas gdy Maryan spuściwszy głowę, patrzył uporeczywie w swoją filiżankę. — Każdy z przyjaciół Stefana, jest u nas pożądanym gościem, zwłaszcza zaś pan, którego znamy doskonale, jakkolwiek po raz pierwszy mamy przyjemność powitać w domu naszym.

Cóż to za przemowa? — myślał sobie Maryan. To widać nowy jakiś będzie gatunek, może emancypantka! Tego mi tylko brakowało! Ale jeżeli sobie wyobraża, że jej będę nadskakiwał, to ją tu prędko wyprowadzę z błędu. Potrzebnie przyszła, żeby nam przerwać miłą gawędkę!

— Pani — ozwał się po chwili — nie wiem czem sobie zasłużyłem na taką uprzejmość — i zwróciwszy się do siedzącej przy samowarze, która mu właśnie podawała świeżą filiżankę herbaty, zagadnął ją: czy jej się czasem nie przykrzy na wsi?

W kółku rodzianem nigdzie się przykrzyć nie może — odparła zagadnięta — zresztą my tu wszyscy wieś lubimy, a zajęcia nam nie brak.

— I takeśmy długo mieszkali w mieście —

wtrąciła blondyneczka — że wieś ma dzisiaj dla nas pewien urok nowości i oryginalności. Co do mnie, nie chciałabym już wracać do miasta.

Czego się ona miesza do rozmowy? — myślał sobie Maryan, zmierzwszy ją zimnem spojrzeniem. Boi się, żeby jej nie wziął za pensyonarkę i pozuje na dorosłą, a lepiejby zrobiła, żeby sobie poszła do lalek, albo z piłką się zabawiła. Kto ją pyta: czego ona chce lub nie chce?...

W tej chwili wbiegł Stefan.

— No i cóż? — zawołał — widzę, że się poznał z moimi paniami, co zapewne tem łatwiej poszło, żeś nieraz opowiadał im o tobie. Spodziewam się, że się nie czujesz tu obcym, nieprawdaż?

— Byłoby to grzechem niedarowanym — wtrąciła blondyneczka.

Maryan znowu zmierzł spojrzeniem mówiącą i uśmiechnął się kwaśno. To odezwanie się w jej ustach dziwnem mu się wydało: gospodyni domu nie mówiła, a ta wyjeżdżająca nieproszona z zdaniem swoim, nieznośna!

— Wobec tak wielkiej uprzejmości pani dobrodziejki — ozwał się zwracając głowę ku pani siedzącej przy samowarze — trudno mi byłoby czuć się tu obcym i nawet sam prosiłem, aby mnie za takiego nie uważała. Mówiliśmy tu właśnie o twoim zapale gospodarskim, ale prawdziwie, że nie wiem co więcej podziwiać: czy gorliwość męża, czy też współudział, który pani twoja bierze w tem wszystkim?

Obeeni spojrzeli na Maryana, potem między sobą zmierzli się nieznacznie oczyma i zagryźli usta. Nastąpiła chwila milczenia.

Cóżem tak szczególnego powiedział, że takie dziwne mają miny? — myślał sobie Maryan.

— Może pozwolisz cygaro? — rzekł Stefan, przysuwając mu pudełko regalii.

— Jeżeli paniom dym przykrym nie będzie — odparł Maryan, zwracając się znowu do tej, która siedziała przy samowarze.

— I owszem, prosimy — rzekła blondyneczka — przy drzwiach otwartych dym wcale nie szkodzi, a zresztą może przedziemi na balkonie?

— Ale wiesz, że wolałbym papierosa — rzekł Maryan do Stefana — mam swoje uprzywilejowane, których i ty może spróbujesz.

I sięgnął ręką do bocznej kieszeni, ale papierosów nie znalazł.

— Musiałem je zostawić w kancelaryi — rzekł — państwo pozwolą, to pójdę poszukać.

Wstał i wyszedł. Nie zaraz jednak je odszukał, a kiedy po dobrej chwili wrócił do jadalnego pokoju, znalazł towarzystwo skupione u drzwi balkonu i z żywością rozprawiające. Doleciały go słowa Stefana:

— I cóż to komu szkodzi? Proszę was bardzo, niech tak zostanie do jutra, bo mi na tem zależy.

A panie się śmiały.

— Dobrze, dobrze, niech tak będzie jak chcesz — odparły obie jednocześnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat.

**TREŚĆ.** Franciszek Liszt, (Wspomnienie pośmiertne), (dokończenie). — Pogawędka. — Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie, (dokończenie). — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — O zmysłach i ich wrażeniach, przez Dra J. Sztarkmana. — Byle nie panna, nowella, (dalszy ciąg), przez Stefanią Ulanowską.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat. — 23 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Августа 1886 года.